



Władysław Panas

Kapucyńska 3: dwa obrazki

Szkic semiotyczny na urodziny Józefa Czechowicza

*To nie koncepcje szukają scenicznej oprawy, to miejsce
wyprowadza na jaw dzieje, postacie, loty, upadki.*

J. Czechowicz: *Czekając na autobus*

Że jest to miejsce magiczne - kolejne w naszym mieście - nie ulega wątpliwości. Tu podarowano mu życie, tu zaczął odkrywać tajemnicę sztuki. Intryguje mnie ów mały punkcik w czasoprzestrzeni, w którym objawił się na tym świecie ktoś tak bardzo niezwykły.

Chciałbym o nim wiedzieć o wiele więcej niż wiem. najlepiej wszystko, nawet więcej niż wszystko. Wydaje mi się, że jak będziemy wpatrywali się uważnie w ten punkt i jego najbliższe otoczenie, to może przybliżymy się nieco do podstawowej zagadki: skąd mianowicie wziął się akurat w Lublinie i zdołał w nim przetrwać - taki artysta? Wszak nic go nie zapowiadało. Warunki domowe - wyjątkowo tragiczne. Wykształcenie - nader skromne. Atmosfera kulturalna miasta - mocno rozrzedzona. Przecież żadna masa krytyczna nie została wtedy w lubelskiej kulturze przekroczona. nie nastąpiła też jakaś reakcja łańcuchowa w tutejszej sztuce, która uzasadniałaby aż taki wybuch talentu, sejsmografy nie zarejestrowały również znaczących wstrząsów intelektualnych w miejscowej glebie. Nic. *Prowincja noc* napisze Czechowicz o wiele lat później. Ale może trzeba wypatrywać na tutejszym niebie (i ziemi także) całkiem innych znaków? Takich zwłaszcza, które wcale na znaki nie wyglądają?

Policmajster czy czarodziej?

Tyle wiemy: urodził się w niedzielę 15 marca 1903 roku o godz. 9.30 na ulicy Kapucyńskiej 3 w suterenie oficyny oznaczonej numerem 8. A inne wydarzenia tego wielkiego dnia w Lublinie? Czy były wśród nich takie, w których moglibyśmy dostrzec chociaż blady cień jakiejś symboliki nawiązującej do narodzin przyszłego poety? Wiadomości o zjawiskach absolutnie nadzwyczajnych nie oczekujemy - meteoryt tunguski spadnie na ziemię dopiero za parę lat, kometa Halleya przeleci przez niebo także w późniejszym terminie. Zadowolilibyśmy się, mówiąc trochę żartobliwie,

informacją o dwugłowym cielęciu, które urodziło się na jednym z lubelskich przedmieść. Każda szczypta niezwykłości, każdy okrucz cudowności - wystarczy.

Czytam więc pilnie pod tym kątem (jedyne wówczas dziennik) „Gazetę Lubelską”, która w podtytułach wiele obiecuje: „Pismo Codzienne Rolniczo-Przemysłowo-Handlowe i Literackie”. Na tę jej literaturę, która jest raczej „litwaturą”. spuszcza natychmiast zasłonę miłosierdzia. (Na prawdziwą sztukę słowa lubelskie gazety będą musiały czekać aż dziecko z kapucyńskiej dorośnie).

Oto pełna lista wydarzeń z niedzieli 15 marca 1903 roku w naszym mieście: W niedalekim kościele Panien Brygidek (nazywanym zresztą z uporem iście lubelskim kościołem Powiżytkowskim) o godz. 18 rozpoczęły się rekolekcje dla mężczyzn. które prowadzi ks. Leon Wydzga. To dla ducha, przecież jest niedziela.

Są również przyjemności natury, że się tak wyrażę, estetycznej. Po sąsiedztwie niemal, na Kapucyńskiej 7. w sali Towarzystwa Muzycznego o godz. 20.30 mamy koncert popularnych pieśni w wykonaniu Aleksandra Bandrowskiego, który przyjechał do nas wprost z Kijowa, gdzie odniósł oszołamiący sukces. Poniedziałkowa „Gazeta” daje entuzjastyczne sprawozdanie z tej imprezy: że „cały Lublin”, że palpitacja serduszek, że rozpromienione oczy. że hołdy wszelakie, że... że... Muszę obiektywnie przyznać, że ówczesny sprawozdawca, czyli protoplasta po piórze (lepiej: piórowy przodek?) dzisiejszych recenzentów lubelskich gazet, nie odznaczał się skąpstwem w zakresie dystrybucji rozmaitych epitetów i przymiotników.

Na tym tle niedzielna oferta teatru prezentowała się słabo: komedia w czterech aktach zatytułowana „Nadczłowiek”, której autorem był niejaki H. M. (Pewnie plód samego dyrektora tej instytucji Henryka Mrozewicza.)

To propozycja dla elity. Tak zwana szeroka publiczność mogła natomiast pójść do objazdowego fotoplastikonu pana Kaczurby, który przygotował na ten dzień fotografie z Japonii i Kalifornii.

Sztuka sztuką, lecz ciało też ma swoje potrzeby i rodzina Czechowiczów powinna coś zjeść. Są biedni, więc nie zwracamy uwagi na restauracje i drogie sklepy. Proszę bardzo, mamy dyżurne jatki: nr 5 i nr 11. Jedna należała do Jankła, druga do Berka. (Niestety, nazwiska obydwu są nieczytelne.)

I to już wszystko. Nie wiem jak kto, lecz ja nie dostrzegam tu niczego szczególnego. Nie mamy chyba innego wyjścia, jak tylko przyjąć w charakterze konkluzji słowa Czechowicza z wiersza *Przemiany*:

przez zepsucie się malej sprężynki
spadłeś piękny meteorze na zupełnie inną planetę

Spadł w samym środku miasta, a tu - tyle co nic. Zero magii, zero cudowności. Ani grama poezji. Chociaż, jeżeli się dobrze zastanowić i przyjrzeć się dokładnie swoim własnym notatkom...

Że też tego wcześniej nie zauważyłem. Chyba jednak mamy pewien trop prowadzący do krainy i baśni, i magii, i poezji. Wiem, że głupio wypadnie, lecz jedyna niezwykłość, jaką udało mi się w tamtych czasach wypatrzeć - to lubelski policmajster! Oczywiście, profesja na wskroś prozaiczna, wolno nawet powiedzieć - marna. Ale nazwisko - czysta poezja i czysta bajka! Pan policmajster nazywał się Merlin, kapitan Merlin. Jak wiadomo, tak też brzmiało nazwisko potężnego czarodzieja, który był doradcą króla Artura. Skoro król Artur, to i święty Graal. No, no... Z celtyckich legend do Lublina! I ten mundurowy kamuflaż. Ciekawe, kto go tu faktycznie przysłał - Ministerstwo Wnutriennych Dziej czy instancja bardziej metafizyczna? A prawdziwy cel jego misji? Merlin, święty Graal, Czechowicz... Urodzinowa fantasmagoria - tak myślicie. Proszę jednak pamiętać, że są na niebie i ziemi rzeczy, o których nie tylko filozofom się nie śniło. Jeżeli chodzi o mnie, teraz zaczynam rozumieć, dlaczego chłopcu nic się nie stało podczas strzelaniny na Kapucyńskiej. A trafiła go przecież kula!

Ale po kolei. Przez całe życie towarzyszył Czechowiczowi obraz dramatycznego wydarzenia, które stało się jego udziałem we wczesnym dzieciństwie. Na trzy lata przed śmiercią opisał tę scenę w notatkach nieprzeznaczonych do publikacji. Jest rok 1905, może 1906 - tak lokalizuje w czasie to wydarzenie. Miejsce akcji: rzecz jasna Kapucyńska 3. Czytamy:

Staliśmy z ojcem przed bramą domu. A ta brama wówczas była drewniana. Nagle w ulicy rozległy się krzyki i strzały. Uciekający Kapucyńską rewolucjonista czy opryszek strzelał na oślep z rewolweru w tył. Policjanci zasypywali go w biegu dosłownie gradem kul.

Nim ojciec oprzytomniał, nim skrył się w bramie, pociągając mnie za sobą. usłyszałem brzęk. Kula rozbiła szybę tuż obok nas. w pierwszym oknie sali bankowej. Następna wplątała mi się w sukienkę, urywając mi rąbek.

Nic mi się nie stało. Ani ojcu.

Nie muszę chyba dodawać, że strzelali ludzie Merlina. To pierwszy obrazek z Kapucyńskiej. Wyrazisty, chociaż cudowny. Może dlatego, bo dotyczy życia. Podarowanego. Prolongowanego na trzydzieści kilka lat.

A może liliowe powieki?

Obrazek drugi jest zamglony. Może dlatego, bo dotyczy wtajemniczenia w sztukę. Zamglony jak nieistniejąca prawa strona Kapucyńskiej. Zwłaszcza Kapucyńska 3. Owszem, róg ulicy fotografowano dość często, ponieważ znajdowały się na nich ważne i interesujące budowle. Róg Kapucyńskiej i Krakowskiego Przedmieścia: hotel Victoria. Róg Kapucyńskiej i Namiestnikowskiej (dzisiaj: Narutowicza): teatr. Ale dwie kamienice między tymi obiektami - numer 3 i 5 - nie wydawały się godne obiektywu. Ulokowany na parterze Kapucyńskiej 3 Bank Handlowy najwidoczniej nie wzbudził dostatecznie silnych emocji wśród lubelskich fotografów. Stąd też z wielkim zainteresowaniem przyglądamy się karcie pocztowej, którą przed 1914 rokiem wydał

warszawski nakładca Konstanty Wojutyński, albowiem jest to najprawdopodobniej jedyna upubliczniona fotografia pokazująca kamienicę, gdzie w oficynie urodził się Czechowicz. Naturalnie, widzimy tylko fasadę kamienicy frontowej, lecz dobre i to. Właśnie przed nią rozegrała się ta scena, którą opowiedział poeta. Tak wygląda zatem magiczne miejsce. Że odrobinę rozczarowuje? Nie dziwnego, gdyż magii nie da się utrwalić na fotografii.

Wiem coś jeszcze o tej kamienicy frontowej. Tego już nie zobaczymy na fotografii. Mikroskopijny (dwie linijki!) ślad zachował się tylko w wierszu Czechowicza. Ale musiał mieć dla niego znacznie większe znaczenie. Być może decydujące. Daleko posunięta dyskrecja poety i mnie zobowiązuje do oszczędności. Opowiem o tym możliwie najkrócej. Otóż na pierwszym piętrze kamienicy mieszkał znany malarz lubelski Konstanty Kietlicz-Rayski z żoną Teresą, która była córką dyrektora Banku Handlowego Tadeusza Piotrowskiego. Co do urody żony malarza są dwie wersje: jedna mówi, że była ekscentryczna i piękna, druga zaś, że niekoniecznie. Wybieram tę pierwszą i chętnie wyobrażam ją sobie jako kobietę z obrazów Gustawa Klimta (mąż malowałby ją gorzej), bo chciałbym, aby dziecko z brzydkiej sutereny mogło od czasu do czasu zobaczyć kogoś pięknego. I taką też ją chyba widział. W pierwszej z dwu wspomnianych wyżej linijek napisał, kiedy był już dorosły: *pani na pierwszym piętrze ma powieki płatki liliowe*

Te liliowe powieki są zapewne wspomnieniem dziecięcego doświadczenia niezwykle piękna. Przechował to odczucie przez całe życie. Lecz nie obyło się tu bez bólu - rzeczywistego, aczkolwiek wiązał się zaledwie ze sztuką, ze sztuką malowania powiek. W drugiej linijce napisze bowiem tak: *gdym poznał że malowane jakże dusiły łzy*

Z takiego powodu może rozplakać się tylko chłopiec, który zostanie w przyszłości poetą. Chłopiec, który już w dzieciństwie poznał, że piękno jest efektem jedynie umiejętnej kreacji. Czy w tamtym momencie zrodziła się w nim pokusa, żeby robić mniej więcej to samo, co pani z pierwszego piętra? Możliwe. Pewności jednak nie mam. Pewne jest, że działo się to wszystko w magicznym miejscu: na Kapucyńskiej 3.

Pierwodruk: „Gazeta Wyborcza” nr 63, 15.03.2002 [„Gazeta w Lublinie”;
dodatek specjalny: „Gazeta na urodziny poety”]